

5 października 2017



## Popłynąć z muzyką

- Słuchania muzyki trzeba się nauczyć. Anegdotycznie mówimy, że gdy się przychodzi do filharmonii, to przez pierwsze trzy koncerty człowiek się trochę nudzi, od czwartego zaczyna dostrzegać więcej, a od następnego - żyć bez tego nie może - z Jackiem Rogalą, dyrygentem, kompozytorem, dyrektorem Filharmonii Świętokrzyskiej, rozmawiamy o różnych wymiarach życia muzyką.

**J.M.:** - **Znam wiele osób, które mówią, że nie lubią ciszy i zawsze musi im coś grać. Zastanawiam się, czy Panu też musi w tle „coś grać”, choćby przy wykonywaniu prozaicznych codziennych czynności?**

**J.R.:** - Muzyka obecna w życiu codziennym, w sklepie, w restauracji - drażni mnie. To są momenty, kiedy chciałbym odpocząć, szczególnie przy jedzeniu. Wydaje się, że restauratorzy wokół Filharmonii są przyzwyczajeni, że gdy wchodzę, proszę o ściszenie muzyki. Gdy spędzam dużo czasu sam wieczorami, bo w dużej mierze prowadzę życie hotelowe, włączam czasem telewizor, aczkolwiek często łapię się na tym, że w międzyczasie go wyciszyłem...

Niewątpliwie jest to pewna wrażliwość na dźwięki. One dziś atakują nas ze wszystkich stron - hałas mamy na ulicy, w pracy, w sklepie, w restauracji, w domu. Dlaczego tak chętnie idziemy do lasu? Bo tam nic nie gra. W muzyce pauzy i cisza też mają czasami walor niezwykle dramaturgiczny, więc cisza jest ważna.

**- Czyli nie potrafi Pan nie zwracać uwagi na tło dźwiękowe? Ono przyciąga uwagę mimowolnie?**

- Tak, to jest niekontrolowane. Człowiek pracujący uchem cały czas słucha i analizuje. Myślę też, że kiedy chodzę na koncerty, to słucham trochę inaczej niż inni melomani. Nie do końca

mam z tego czystą przyjemność, jak oni, bo słucham nie tylko samej muzyki, ale też jakości wykonania, różnych detali. Moja rodzina wie doskonale, że łatwiej mnie wyciągnąć do teatru niż na koncert. Oczywiście chodzę na koncerty, ale to nie do końca jest relaks i przyjemność. Łatwiej mi się poddać temu w teatrze czy w kinie. A patrząc szerzej, trzeba zauważyć, że zmieniła się kultura słuchania i znaczenie dźwięku. Eskimosi potrafili po skrzypieniu śniegu ocenić, jaka jest temperatura, kiedyś sygnał dzwonów miał określone znaczenie komunikacyjne, np. alarmowe. Dziś dźwięki w naszej przestrzeni nie mają takich znaczeń. Raczej stały się tapetą, przeszkadzają, a czasem nawet szkodzą.

**- A jaką ma Pan melodyjkę ustawioną w telefonie? Standardowy dzwonek czy jakiś ulubiony „kawałek”?**

- W służbowym grają mi Piraci z Karaibów, a w prywatnym samba, więc są to raczej energiczne dźwięki, żeby były słyszalne. Dość głośne i dobrze zinstrumentowane. Ale tym zarządziły moje córki...



*Jacek Rogala*

**- Jakie były początki Pana zainteresowań muzycznych?**

- To było bardzo naturalne, bo wszyscy moi bliscy, rodzice, dziadkowie, wujostwo, jeśli nie zawodowo, to amatorsko lub półzawodowo muzykowali, śpiewając w chórach, grając, prowadząc orkiestry. Podobno od wczesnego dzieciństwa buzia mi się nie zamykała i śpiewałem cały czas - gdzieś mam nawet takie zdjęcia. Już przedszkolu założyłem pierwszą „orkiestrę”, jako organizator i... no, artysta to może za dużo powiedziane, ale taki, powiedzmy, Janko Muzykant. Działalem impulsywnie, więc to było we krwi od zawsze.

**- Rozważał Pan kiedykolwiek możliwość uprawiania zawodu niezwiązanego z muzyką?**

- Zajmowałem się różnymi rzeczami - pracowałem jako urzędnik w Ministerstwie Kultury, byłem radiowcem w dwóch rozgłośniach, pisałem książkę o muzyce, przez dekadę prowadziłem stowarzyszenie. To wszystko było jakoś z muzyką związane, ale było to jednak dotykane trochę innych rzeczywistości niż sama muzyka, co dzisiaj bardzo przydaje mi się w pracy dyrektora filharmonii. Spokojnie mógłbym sobie wyobrazić siebie w innym zawodzie. Życie pisze różne scenariusze. W naszym środowisku są osoby, którym rozwijała się fantastyczna kariera, a nagle choroba czy inne okoliczności powodowały, że trzeba było zająć się czymś innym, nie występami, ale na przykład nauczaniem. Człowiek świadomy wie, że ma szczęście, że może robić to, co chce i lubi, ale z różnych powodów w każdej chwili może się zdarzyć, że trzeba będzie zająć się czymś innym. Z całą pewnością nie siedziałbym na laurach, bo zawsze wypełniam sobie życie po brzegi różnymi zadaniami. Na pewno znalazłbym zajęcie - może hodowałbym kury albo prowadził pensjonat... (*śmiech*). Coś ciekawego bym robił i na pewno byłoby to coś dla ludzi.

**- Czym właściwie jest dla Pana muzyka, skoro cały czas, od zawsze wypełnia Panu życie?**

- To jest tak naturalny element w moim życiu, że bardzo trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Mówienie, że muzyka wypełnia życie, jest pewnym wytrychem, bo ona towarzyszy w sposób specyficzny. Oglądając film, mogę zatopić się głęboko w treść, a i tak gdzieś „z tyłu głowy” będę analizował muzykę, czy jest dobrze zrobiona, jak jest nagrana, zinstrumentowana. Czasami znów jest tak, odwracając sytuację, że nie mam ochoty iść na koncert, bo po pracy przez tydzień z orkiestrą mam już dość dźwięków. Muzyka rzeczywiście wypełnia życie, jednak trzeba umieć postawić gdzieś granice. Organizm jest jak gąbka - w pewnym momencie już nie przyjmuje dźwięków. Więc muzyka ma dla mnie różne oblicza. To z jednej strony wielka pasja i fascynująca przygoda, raz intelektualna, innym razem emocjonalna - gdy stwarza rodzaj napięcia, z którym człowiek jeszcze do tej pory nie obcował. Nawet jeśli studiuje się po raz dwudziesty tę samą partyturę, przygotowując się do koncertu, za każdym razem odkrywa się coś nowego „między pięcioliniami”. Z drugiej strony, mało kto wie, że dla wszystkich muzyków uprawianie tego zawodu wiąże się z ogromnym stresem. Robiono kiedyś badania, podłączając muzyków do odpowiedniej aparatury, i okazało się, że stres towarzyszący muzykom jest porównywalny z napięciem pilotów bombowców. Mimo że może tego nie widać, to jednak sporo kosztuje. Życie muzyką ma więc bardzo różne wymiary.

**- Mówiliśmy, że muzyka wywołuje emocje, a czy ma dla Pana treść?**

- Myślę, że każdy słucha na swój sposób. Pamiętam na przykład kwartet smyczkowy Ravela - gdy pierwszy raz go usłyszałem, miałem poczucie jakbym jechał szosą, a bokami uciekały drzewa, jak w filmie. Oczywiście muzyka działa na naszą wyobraźnię, tylko że nam, zawodowcom, trudniej tak się jej poddać, by się całkowicie oderwać, odpłynąć...

**- A jak się Pan relaksuje pozamuzycznie?**

- Po pierwsze - pracując w ogródku. Uwielbiam „grzebać” w ziemi i tak najczęściej spędzam wakacje. Nie żadne wojaże na ciepłe plaże, tylko warmińska działka, na której sadzę drzewa i koszę trawę. Wojaże mam przez cały rok. To fascynacja ziemią, tym, że rośnie coś, o co dbamy, wszystko jedno, czy to jakaś niebywała roślina, czy najzwyczajniejsza w świecie. Po

drugie – książki. To coś, bez czego żyć nie mogę. Czytam kilka jednocześnie, jedna jest w walizce, druga w domu w Warszawie, trzecia w Kielcach. Czytam je z przerwami, lubię wracać do takich rozpoczętych historii. Bardzo różne rzeczy mnie interesują. Czeka na mnie książka o rosyjskich carach, druga o Franku Sinatrze i przemówienia Vaclava Havla – prezent od córek. W gabinecie leżą felietony Kisielewskiego, ale też Sherlock Holmes po angielsku, żeby czasem odświeżyć używanie języka.

**- Jaka muzyka jest panu najbliższa?**

- Świetnie się czuję zatopiony w muzyce impresjonizmu, koloru. Innego rodzaju przygodą jest muzyka XX wieku – tu każdy kompozytor stworzył swój własny styl albo język, więc różnorodność jest ogromna, każdy utwór zaskakuje, to często bardziej intelektualna przygoda. Bardzo lubię też emocje romantyzmu i porządek klasycyzmu, jazz... No i nie odżegnuję się też od muzyki rozrywkowej, jeśli jest dobrze napisana.



**- Edukacja muzyczna była chyba lepsza w dawnych czasach. Dziś większość ludzi sądzi, że filharmonia to dla nich za wysokie progi.**

- Muzyka od starożytności była bardzo ważnym elementem edukacji. Dziś naczelnym odbiorcą informacji stało się oko i troszkę nie doceniamy muzyki, choć towarzyszy nam ona w każdym aspekcie życia. Przez to, że jest tak wszechobecna, pozornie obniża się jej znaczenie. A słuchania muzyki trzeba się nauczyć. Anegdotycznie mówimy, że gdy się przychodzi do filharmonii, to pierwsze trzy koncerty człowiek się trochę nudzi, od czwartego zaczyna dostrzegać pewne „drugie dna”, kontrapunkty, a od następnego – już żyć bez tego nie może. To tak jak z jedzeniem. Nawet jeśli na co dzień jemy parówki i jajecznicę, w pewnym momencie zaczynamy doceniać potrawy wykwintne i od czasu do czasu chcemy ich spróbować. Z muzyką też jest taka możliwość, tylko musimy się nauczyć ją odbierać, uruchomić te kubki smakowe. Trzeba troszkę cierpliwości, odwagi i – co najtrudniejsze – nieodrzućcia w pierwszej chwili. Po jakimś czasie przekonujemy się, że lepiej się żyje, obcując ze sztuką, że nas to ubogaca, zmienia nasze potrzeby w tym sensie, że nie zgadzamy się już na bylejakość otoczenia. Gdy elegancko się ubieramy, idziemy spotkać się z ludźmi – wszystko jedno czy to teatr, czy filharmonia – podświadomie czujemy się tacy odświeżeni, fajniejsi, mądrzejsi, lepsi. A to wpływa na nasze relacje, powoduje, że nieobojętnie przechodzimy obok drugiego człowieka, wymagamy więcej, chcemy wpływać na otaczającą nas rzeczywistość.

rozmawiała **Joanna Majewska**